

MILIARDERZY z PRZYPADKU

POCZĄTKI

FACEBOOKA

OPowieść o SEKSIE,
PIENIĄDZACH,
GENIUSZU I ZDRADZIE



Wydawnictwo
ab
two

BEN MEZRICH

BEN MEZRICH (ur. 1969) – pisarz amerykański. Ukończył studia na Uniwersytecie Harvarda. Jest autorem jedenastu książek (z których część wydał pod pseudonimem Holden Scott). Największą popularność przyniosły mu historie oparte na faktach. Jedna z nich w 2008 roku została przeniesiona na ekran (*Bringing Down the House* jako *21*), trzy inne są w trakcie ekranizacji. Publikacje Mezricha zostały przetłumaczone na ponad dwadzieścia języków. *Miliarderzy z przypadku* (2009) to jego najnowsza książka.
benmezrich.com

Facebook to obecnie jeden z najpopularniejszych na świecie portali społecznościowych. Zanim stał się serwisem zrzeszającym miliony użytkowników, był skromną stroną internetową znaną tylko nielicznym studentom Harvardu i służącą głównie do oceny atrakcyjności studentek. Jednak niewiele osób zna prawdziwą historię jego powstania...

Na podstawie książki powstał film *The Social Network*, w reżyserii Davida Finchera. W rolach głównych Jesse Eisenberg oraz Justin Timberlake.

MILIARDERZY
Z PRZYPADKU

POCZĄTKI
FACEBOOKA
OPowieść o seksie,
pieniądzech,
geniuszu i zdradzie

BEN MEZRICH

MILIARDERZY
z PRZYPADKU

POCZĄTKI
FACEBOOKA
OPowieść o SEKSIE,
PIENIĄDZACH,
GENIUSZU I ZDRADZIE

przełożył Jacek Konieczny

W
ydawnic
ab
two

Tytuł oryginału: *The Accidental Billionaires*

Copyright © 2009 by Ben Mezrich

This translation published by arrangement with Doubleday,
an imprint of The Knopf Doubleday Publishing Group,
division of Random House, Inc.

Copyright © for the Polish edition by Wydawnictwo W.A.B., 2010

Copyright © for the Polish translation by Wydawnictwo W.A.B., 2010

Wydanie I

Warszawa 2010

Dla Tonyi,
dziewczyny moich marzeń...

PRZĘDMOWA AUTORA

Miliarderzy z przypadku to pełna dramaturgii historia napisana w oparciu o rozmowy z kilkudziesięcioma osobami, setki innych źródeł oraz tysiące stron dokumentów, między innymi protokoły rozpraw sądowych.

Istnieje wiele – nierzadko sprzecznych – opinii na temat wydarzeń, które zostaną tu opisane. Czasami niezwykle trudno jest połączyć w spójną narrację relacje kilkudziesięciu osób, z których jedne były naocznymi świadkami wydarzeń, a inne znają je tylko pośrednio. Poszczególne sceny odtworzyłem na podstawie informacji zgromadzonych podczas rozmów z różnymi ludźmi oraz lektury dokumentów. Dokładałem wszelkich starań, aby wybrać te wersje wydarzeń, których prawdziwość mogłem potwierdzić za pomocą obiektywnych świadectw. Niektóre sceny napisałem z perspektywy poszczególnych uczestników, co wszakże nie oznacza, że zgadzam się z ich poglądami.

Staralem się możliwie najściślej trzymać chronologii wydarzeń. W opisie tła wydarzeń niekiedy zmieniałem lub wymyślałem mniej istotne detale, zataiłem także informacje umożliwiające identyfikację niektórych osób. Pomijając kilka powszechnie znanych postaci, nazwiska i charakterystyki bohaterów są fikcyjne.

Posłużyłem się tu również techniką odtwarzania dialogów. Podczas pracy nad nimi opierałem się na wspomnieniach uczestników zdarzeń. Niektóre z przedstawionych konwersacji w rzeczywistości były dłuższe i toczyły się w różnych miejscach, a w książce znalazły się ich kompilacje lub skrócone wersje, zlokalizowane w pasujących do kontekstu miejscach.

Ludzie, którzy pomogli mi w napisaniu tej książki, zostaną wymienieni w podziękowaniach, niemniej już teraz chciałbym wyrazić szczególną wdzięczność Willowi McMullenowi za umożliwienie mi poznania Eduarda Saverina, bez którego ta opowieść nigdy by nie powstała. Mark Zuckerberg, mimo wielu próśb, nie zgodził się na rozmowę, do czego miał oczywiście pełne prawo.

ROZDZIAŁ 1 | PAŹDZIERNIK 2003 ROKU

Możliwe, że stało się to przy trzecim drinku. Eduardo nie był do końca pewien, ponieważ wypił wszystkie bardzo szybko – puste plastikowe kubki stały teraz na parapecie za jego plecami, włożone jeden w drugi – i nie potrafił precyzyjnie określić momentu, kiedy poczuł skutki działania alkoholu. Te były jednak bezdyskusyjne, bowiem odczuwał je całym ciałem: na zazwyczaj ziemistych policzkach czuł przyjemne ciepło rumieńców; stał oparty o okno w swobodnej pozie, zupełnie jakby jego ciało składało się z gumy, co żywo kontrastowało z jego zwykle sztywną, przygarbioną sylwetką; a co najważniejsze jego twarz rozjaśniał niewymuszony uśmiech, który bez większych efektów ćwiczył tego wieczoru przed lustrem w swoim pokoju przez dwie godziny przed wyjściem. Czując niewątpliwe skutki alkoholu, Eduardo przestał się bać, a przynajmniej nie paraliżowało go już prężne pragnienie, aby spierdalać stamtąd, gdzie pieprz rośnie.

Trzeba przyznać, że pomieszczenie, w którym się znajdował, onieśmiało: ogromny kryształowy żyrandol zwisał z łukowatego sufitu przypominającego sklepienie kościoła, grube, aksamitne dywany wypływały niczym czerwona rzeka z pokrytych mahoniem ścian, kręte, rozwidlające się schody prowadziły do supertajnych katakumb na wyższych piętrach. Zagrożenie zdawało się emanować nawet z szyby za plecami Eduarda, podświetlonej migoczącymi złowrogo płomieniami ogniska. Rozpalono je na wąskim dziedzińcu; końcówki płomieni lizały stare, spękane mury.

Było to przerażające miejsce, zwłaszcza dla kogoś takiego jak Eduardo. Co prawda nie dorastał w biedzie – większą część dzieciństwa spędził w najróżniejszych dzielnicach brazylijskich miast oraz Miami zamieszkałych przez wyższą klasę średnią, by w końcu dostać się na Harvard – nigdy jednak nie zetknął się z tego rodzaju przytłaczającym bogactwem, z jakim urządzono pokój, w którym się znajdował. Nawet alkohol nie stłumił niepewności – jej ucisk Eduardo czuł w żołądku. To samo uczucie towarzyszyło mu, gdy po raz pierwszy wkroczył na dziedziniec Harvardu, zastanawiając się, co go tam, u licha, przywiodło. Jakim cudem można się czuć swobodnie w takim miejscu?

Oparł się o parapet i zlustrował wzrokiem tłum młodych mężczyzn, który wypełniał niemal każdy zakątek ogromnego pomieszczenia. Większość kłębiła się wokół dwóch kontuarów postawionych tam specjalnie z okazji imprezy. Wyglądały dość tandetnie – proste drewniane stoły zupełnie nie pasowały do tak posępnego otoczenia – ale nikt na to nie zwracał uwagi, ponieważ stały

za nimi jedyne w całym pomieszczeniu dziewczyny. Te znakomicie dobrane do swojej roli piersiaste blondynki w czarnych, wydekoltowanych koszulkach sprowadzono z jednej z pobliskich żeńskich uczelni, aby serwowały drinki tłumowi młodych mężczyzn.

Tłum pod wieloma względami budził jeszcze większą grozę niż sam budynek. Według szacunków Eduarda na sali znajdowało się około dwustu mężczyzn. Wszyscy mieli na sobie podobne ciemne marynarki i spodnie. Byli to głównie studenci drugiego roku i choć należeli do różnych ras, coś ich łączyło – uśmiech na ich twarzach wydawał się znacznie bardziej naturalny niż w przypadku Eduarda, a z dwustu par oczu biła pewność siebie. Ci chłopcy nigdy nie musieli niczego sobą udowadniać. Pasowali do tego miejsca. Większość traktowała to przyjęcie – obecność w tym budynku – jak zwykłą formalność.

Eduardo wziął głęboki oddech. Skrzywił się lekko, wyczuwając w powietrzu delikatną gorycz. Dym z ogniska musiał wlatywać przez szpary w oknie, mimo to Eduardo nie zamierzał opuszczać wygodnego miejsca przy parapecie. Jeszcze nie był gotowy.

Skierował uwagę na grupę czterech chłopaków średniej budowy ciała, którzy stali tuż obok niego. Żadnego nie pamiętał z zajęć. Dwóch było blondynami; wyglądali na dzieci z dobrych domów, które dopiero co wysiadły z pociągu z Connecticut. Trzeci był Azjatą i sprawiał wrażenie nieco starszego, choć tego akurat Eduardo nie był pewien. Czwarty – Afroamerykanin, niezwykle wytworny, sądząc po uśmiechu i starannie ułożonych włosach – bez wątpienia był studentem czwartego roku.

Eduardo poczuł, że drętwieją mu plecy. Przyjrzał się uważniej krawatowi czarnego chłopaka. Kolor materiału nie pozostawiał cienia wątpliwości – faktycznie był to student czwartego roku. Eduardo postanowił przystąpić do działania.

Rozprostował ramiona i odepchnął się od parapetu. Przywitał się skinieniem głowy z parą blondynów i Azjatą, niemniej całą uwagę skupił na najstarszym z czwórki – oraz na jego czarnym krawacie z charakterystycznym wzorem.

– Eduardo Saverin – przedstawił się, energicznie potrząsając ręką chłopaka. – Miło cię poznać.

Chłopak powiedział, że nazywa się Darron jakimś tam, i Eduardo zanotował sobie tę informację w pamięci. Nazwisko nie miało wszakże większego znaczenia – czarny krawat w białe ptaszki zdradzał tożsamość jego właściciela. Chłopak należał do bractwa studenckiego Phoenix-S K i był jednym z około dwudziestu gospodarzy imprezy, którzy krążyli w tłumie gości z młodszych roczników.

– Saverin. To ty masz fundusz hedgingowy, prawda?

Eduardo się zarumienił, choć tak naprawdę był zachwycony, że członek Phoenixa kojarzy jego nazwisko. Niemniej Darron lekko przesadził, bowiem Eduardo nie posiadał funduszu hedgingowego – zarobił po prostu trochę pieniędzy, inwestując z bratem na giełdzie w czasie wakacji między drugim a trzecim rokiem studiów. Nie miał zamiaru prostować pomyłki – jeżeli członkowie Phoenixa rozmawiali na jego temat i byli pod wrażeniem jego dokonań, to być może miał szanse.

Serce podekscytowanego Eduarda zabiło nieco szybciej – teraz należało wcisnąć starszemu koledze odpo-

wiednią ilość kitu, aby podtrzymać jego zainteresowanie. Ta chwila określi jego przyszłość w większym stopniu niż jakikolwiek egzamin, który zdawał na pierwszym i drugim roku. Eduardo miał świadomość, jakie korzyści może mu przynieść członkostwo w Phoenixie, zarówno pod względem statusu społecznego na dwóch ostatnich latach studiów, jak i w związku z planami zawodowymi po opuszczeniu uczelni.

Podobnie jak tajne stowarzyszenia na Yale, o których tyle pisano w ostatnich latach w prasie, bractwa studenckie sprawowały niemal jawny rząd dusz na harwardzkim kampusie. Osiem męskich klubów, których siedziby mieściły się w okazałych kilkunastowiecznych budynkach w różnych częściach Cambridge, wychowały wiele pokoleń światowych przywódców, magnatów finansowych i innych wpływowych postaci. Członkostwo w jednym z ośmiu bractw – właściwie bez znaczenia, w którym – wiązało się z uzyskaniem określonej tożsamości społecznej. Bractwa miały różny charakter: od niezwykle ekskluzywnego Porcelliana, najstarszego klubu w kampusie, którego członkowie nosili takie nazwiska jak Roosevelt i Rockefeller, do eleganckiego Fly Clubu, który wydał dwóch prezydentów i kilku miliardów. Każdy klub miał swoją specyfikę. Phoenix nie był może najbardziej prestiżowy, ale pod wieloma względami cieszył się największą popularnością. Surowy budynek na Mt. Auburn Street 323 zapełniał się w piątkowe i sobotnie wieczory, a członkowie bractwa nie tylko mogli odczuwać dumę z przynależności do instytucji o stuletniej tradycji, ale mieli również możliwość uczestniczenia w najlepszych imprezach na kampusie

w towarzystwie najseksowniejszych dziewczyn ściągniętych ze szkół z całego obszaru oznaczonego kodem pocztowym 02138.

– Fundusz hedgingowy to tylko hobby – wyznał skromnie Eduardo słuchającym go uważnie eleganckim. – Koncentrujemy się głównie na akcjach firm z branży naftowej. Zawsze miałem hopla na punkcie pogody, dzięki czemu udało mi się znacznie lepiej niż innym inwestorom przewidzieć konsekwencje kilku huraganów.

Eduardo wiedział, że wkracza na niepewny grunt, próbując w możliwie najprostszy sposób wytłumaczyć, jak udało mu się przewidzieć zachowanie rynku ropy naftowej. Wiedział, że jego rozmówcę z Phoenixa interesuje tak naprawdę trzysta tysięcy dolarów, które Eduardo zarobił na handlu ropą, a nie jego obsesja na punkcie meteorologii, dzięki której mógł przeprowadzić kilka udanych transakcji. Ale Eduardo chciał się trochę popisać. Słyszając, jak Darron wspomina o jego „funduszu hedgingowym”, Eduardo utwierdził się w przekonaniu, że został zaproszony na przyjęcie przede wszystkim z powodu otaczającej go reputacji obiecującego biznesmena.

Do licha, zdawał sobie przecież sprawę, że nie ma praktycznie żadnych innych atutów. Nie był sportowcem, nie pochodził ze znanej rodziny, a już na pewno nie zasłynął jako dusza towarzystwa. Odrobinę zbyt długie w stosunku do reszty ciała ręce nadawały mu dość pokraczny wygląd, a wyluzować potrafił się wyłącznie po kilku drinkach. A jednak znalazł się w tej sali. Co prawda z rocznym opóźnieniem – do bractwa przyjmowano

zazwyczaj studentów pod koniec drugiego roku, a nie na trzecim – ale jednak.

Procedura naboru zupełnie go zaskoczyła. Dwa dni wcześniej siedział wieczorem przy biurku w swoim pokoju w akademiku, przygotowując dwudziestostronicową pracę na temat jakiegoś dziwnego plemienia żyjącego w puszczy amazońskiej, kiedy ktoś niespodziewanie wsunął zaproszenie przez szparę pod drzwiami. Eduardo wiedział, że nie jest to jeszcze przepustka do raję – z dwustu studentów (głównie drugiego roku), których zapraszano na pierwsze przyjęcie, tylko około dwudziestu zostawało członkami Phoenixa – niemniej był tak samo podekscytowany jak wtedy, gdy kilka lat wcześniej otwierał kopertę z listem potwierdzającym, że dostał się na Harvard. Od chwili rozpoczęcia studiów miał nadzieję, że dostanie się do jednego z bractw studenckich – teraz wreszcie otrzymał taką szansę.

Wszystko zależało od niego... no i oczywiście od tych młodzieńców w czarnych krawatach w ptaszki. Każde z czterech przyjęć – do których zaliczało się to zapoznawcze koktajl party – było swego rodzaju zbiorową rozmową kwalifikacyjną. Kiedy Eduardo i pozostali goście wrócą do akademików rozsianych na terenie całego kampusu, członkowie Phoenixa zbiorą się w jednym z sekretnych pomieszczeń na piętrze i podejmą decyzję o ich dalszym losie. Po każdym przyjęciu coraz mniejszy odsetek studentów otrzyma ponownie zaproszenie – w ten sposób z dwustu osób zostanie dwadzieścia.

Jeśli Eduardo znajdzie się w tej grupie, jego życie ulegnie zasadniczej zmianie. A jeśli miało mu w tym pomóc twórcze „omówienie” długich godzin, jakie poświęcił

w lecie na analizę wahań ciśnienia i prognozowanie ich wpływu na wzór dystrybucji ropy naftowej, to nie zamierzał nim pogardzić.

– Cała sztuka polega na tym, żeby z tych trzystu tysięcy zrobić trzy miliony – stwierdził z uśmiechem Eduardo. – Ale to właśnie urok zabawy z funduszami hedgingowymi. Trzeba się wykazywać prawdziwą inwencją.

Wypowiadał kolejne brednie z takim entuzjazmem, że grupka elegancików słuchała go z niesłabnącym zainteresowaniem. Umiejętność wciskania kitu doprowadził do perfekcji podczas licznych imprez, na jakie chodził na pierwszym i drugim roku. Teraz wystarczyło zapomnieć, że okres próbny się skończył i tym razem wszystko dzieje się już na serio. Powtarzał sobie w myślach, że jest na jednym z mniej ważnych spotkań, na których nikt go nie oceniał i od których nie zależało jego członkostwo w bractwie studenckim. Doskonale pamiętał pewien wieczór, kiedy udało mu się zrobić wyjątkowo dobre wrażenie na rozmówcach – zorganizowane w tym samym budynku przyjęcie tematyczne poświęcone Karaibom ze sztucznymi palmami i rozsypanym na podłodze piaskiem. Starał się przenieść myślami do tamtych chwil, zapomnieć, że znajduje się w tak onieśmielającym pomieszczeniu, wzbudzić w sobie łatwość, z jaką prowadził wtedy konwersację. I rzeczywiście po chwili poczuł się jeszcze swobodniej. Oczarowany brzmieniem własnego głosu dał się ponieść opowiedanej przez siebie historii.

Przeniósł się myślami na karaibskie przyjęcie. Pamiętał każdy szczegół: rozbrzmiewające w pomieszczeniu reggae oraz dźwięczące mu w uszach metaliczne odgłosy

perkusji. Pamiętał rumowy poncz i dziewczyny w kwiecistych bikini.

Przypomniał sobie nawet chłopaka z czupryną kręconych włosów, który stał w kącie, zaledwie trzy metry od tego miejsca, w którym Eduardo znajdował się w tej chwili, próbując jak on zdobyć się na odwagę i nawiązać rozmowę z którymś ze starszych chłopaków z Phoenixa. Niestety dzieciak nigdy nie ruszył się z kąta, a paraliżujące go skrępowanie było tak bardzo widoczne, że niczym tarcza ochronna odgrodziło go od reszty pomieszczenia, odpychając wszystkich, którzy znaleźli się w pobliżu.

Eduardo trochę mu nawet wtedy współczuł, ponieważ wiedział, kim jest ów chłopak z kręconymi włosami, i że dzieciak nie ma absolutnie żadnych szans, aby dostać się do Phoenixa. Bóg jeden raczy wiedzieć, po co w ogóle znalazł się na przyjęciu rekrutacyjnym, ponieważ członkostwo w bractwie studenckim z pewnością nie było dla niego. Harvard oferował takim dzieciakom mnóstwo innych możliwości: pracownie komputerowe, kółka szachowe oraz dziesiątki nieoficjalnych organizacji i stowarzyszeń skupiających ludzi obciążonych najróżniejszymi formami upośledzenia społecznego. Po wciśniętym w kąt chłopaku od razu było widać, że nie ma zielonego pojęcia o sztuce nawiązywania kontaktów towarzyskich, tymczasem bez tego nie miał szans, aby dostać się do Phoenixa.

Myśli Eduarda były zaprzątnięte marzeniem o członkostwie w bractwie studenckim i nie poświęcił wtedy większej uwagi dziwnemu dzieciakowi stojącemu w kącie. Teraz też szybko o nim zapomniał.

Skąd mógł wiedzieć, że chłopak z czupryną kręconych włosów zrewolucjonizuje pewnego dnia sposób nawiązywania kontaktów towarzyskich. Chłopak z czupryną kręconych włosów, który z takim skrepowaniem uczestniczył w karaibskim przyjęciu, miał wyrzeć większy wpływ na życie Eduarda niż jakiegokolwiek bractwo studenckie.

ROZDZIAŁ 2 | DZIEDZINIEC HARVARDU

Kiedy wybiła pierwsza dziesięć w nocy, wystrój sali kompletnie się posypał. Od ścian zaczęły odchodzić paski białej i niebieskiej krepiny; jeden z nich zwisał tak nisko, że jego taftowe końcówki znalazły się niebezpiecznie blisko ogromnej miski z ponczem. Co gorsza, na podłogę zaczęły coraz liczniej spadać kolorowe plakaty, którymi zakryto większość pustej powierzchni ścian między paskami krepiny. W niektórych częściach pomieszczenia beżowy dywan niemal całkowicie zniknął pod stosami błyszczących wydruków komputerowych.

Po dokładniejszym śledztwie odkryto przyczynę tego zjawiska – taśma pakowa, która posłużyła do przyklejenia do ścian kolorowych plakatów i pasków krepiny, zaczęła nasiąkać wilgocią niesioną w ich stronę przez gorące powietrze wlatujące znad umocowanych pod ścianami kaloryferów.

Ogrzewanie było włączone, ponieważ działało się to w październiku w północno-wschodniej części Stanów

Zjednoczonych zwanej Nową Anglią. Wiszący nad odklejającymi się plakatami baner ciepło witał zebranych – ALFA EPSILON PI, IMPREZA ZAPOZNAWCZA, 2003 – nie mógł jednak w żaden sposób wygrać ze szronem, który zaczynał się gromadzić na ogromnych oknach sali wykładowej. Trzeba przyznać, że komitet organizacyjny zrobił, co mógł, przygotowując wystrój sali wykładowej na piątym piętrze podstarzałego budynku przy słynnym harwardzkim dziedzińcu, w której na co dzień odbywały się wykłady z filozofii i historii. Wyniesiono wszystkie obdrapane drewniane krzesła i pulpity, puste, dziurawe ściany próbowano zakryć plakatami i krepiną, a większość paskudnych lamp fluorescencyjnych zasłonięto wspomnianym banerem. Największą atrakcją był jednak odtwarzacz muzyki umożliwiający podłączenie iPoda, połączony z parą gigantycznych głośników, które ustawiono na niewielkim podeście pośrodku pomieszczenia, normalnie przeznaczonym dla wykładowcy.

Jeszcze dziesięć minut przed pierwszą iPod pracował na pełnych obrotach, wypełniając salę mieszaniną popu i anachronicznego folk rocka; za dobór muzyki winę ponosiła bądź schizofreniczna playlista, bądź słabo przemyślany kompromis organizatorów. Niemniej jednak muzyka była bardziej znośna, niż by to się mogło wydawać, w czym wydatnie pomagały głośniki przyniesione przez jednego z organizatorów. Na przyjęciu rok wcześniej w kącie sali postawiono kolorowy telewizor, na którym odtwarzano w nieskończoność z DVD panoramę wodospadu Niagara. Choć nie miała ona absolutnie nic wspólnego z Alfa Epsilon Pi czy Harvardem, huk spadającej

wody zdawał się pasować do atmosfery imprezy, poza tym organizatorzy nie musieli za to zapłacić ani centa.

Muzyka płynąca z głośników była nowością – podobnie jak łuszczące się plakaty – niemniej sama impreza niewiele różniła się od tych z poprzednich lat.

Eduardo stał pod banerem w zapiętej pod szyję koszuli z Oksfordu. Cienkie paski krepiny zwisały obok jego patykowatych nóg. Otaczało go czterech podobnie ubranych studentów drugiego i trzeciego roku. Razem stanowili jedną trzecią uczestników imprezy. Gdzieś w dalszej części sali znajdowały się dwie lub trzy dziewczyny. Jedna z nich odważyła się nawet założyć spódnice, choć ze względu na pogodę miała na nogach grube szare legginsy.

Widok ten w niewielkim stopniu przypominał znane z filmów imprezy studenckie, trzeba jednak pamiętać, że życie towarzyskie Harvardu niezbyt przypominało bachanalia urządzone na innych uniwersytetach. Poza tym Epsilon Pi nie był akurat perłą wśród stowarzyszeń – członków tego najważniejszego żydowskiego bractwa na Harvardzie łączyła raczej średnia ocen niż skłonność do imprezowania. Epsilon Pi nie miał bynajmniej religijnego charakteru, bowiem naprawdę pobożni Żydzi – ci, którzy spożywali tylko kosherne jedzenie i nie umawiali się na randki z gojami – należeli do Hillel House, który dysponował własnym budynkiem na terenie kampusu i prawdziwymi funduszami oraz zrzeszał studentów obu płci. Do Epsilon Pi należeli mniej religijni studenci, których ze wspólnotą żydowską łączyły głównie nazwiska. Chłopak z Epsilon Pi mógł spotykać się z Żydówką, ponieważ sprawiał tym przyjemność mamie i tacie,

istniało jednak większe prawdopodobieństwo, że będzie umawiał się z Azjatką.

Właśnie o tym Eduardo rozmawiał z kolegami z klubu. Lubili poruszać ten temat, ponieważ umożliwiał im łatwe znalezienie wspólnego języka.

– Wcale nie chodzi o to, że takim facetom jak ja generalnie podobają się Azjatki – stwierdził Eduardo, popijając poncz – ale że Azjatkom podobają się tacy faceci jak ja. A jeżeli chcę zoptymalizować prawdopodobieństwo zaliczenia możliwie najseksowniejszej panienki, muszę zawęzić wybór do tych, które będą mną najbardziej zainteresowane.

Słuchacze pokiwali głowami, zgadzając się z logiką jego wyводу. W przeszłości sami przekształcali to proste równanie w znacznie bardziej złożony algorytm, próbując wyjaśnić popularność związków między Żydami i Azjatkami, jednak tego wieczoru zadowolili się uproszczoną wersją. Być może dlatego, że z głośników wydobywała się ogłuszająca muzyka, która uniemożliwiała formułowanie jakichkolwiek bardziej skomplikowanych myśli.

– Choć akurat w tej chwili – dodał Eduardo, spoglądając z niesmakiem na dziewczynę w spódnicy i legginsach – ten wybór nie jest zbyt wielki.

Ponownie wszyscy skinęli głowami, choć Eduardo nie mógł oczekiwać, że którykolwiek z jego rozmówców będzie potrafił mu pomóc. Na prawo od niego stał pękaty chłopak o wzroście nieprzekraczającym stu siedemdziesięciu centymetrów, który należał do szachowej reprezentacji Harvardu i mówił płynnie pięcioma językami; umiejętności te w żaden sposób nie ułatwiały mu